№ 20 WARSZAWA, DNIA 17 MAJA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

— No! — zawołała Bietka. — Nie zapomnij! Bo jakbyś zapomiał, to cię na oczy widzieć nie chcę. Pójdź, Magdziu.

I obie ze służebną poszły żywo dalej.

— To Beata, córka medyka — rzekł Samuel, jakby się tłomacząc przed Hieronimem.—Ci, co żebrzą, wiedzą jak miłosiernego serca są w ich domu. Ona sama zwykle daje.

— Jak ma! — mruknął Hieronim niechętnie.

Potem spytał, rozpogodziwszy się:

— Skąd ty znasz tego medyka?

— Leczył mię—odrzekł Samuel.—Tedy skarżyć na pachołków nie chcesz?

— Nie. Już mi daruj.

— Jać nie mam co darowywać! — zawołał Samuel—nawet czyście to, i podoba mi się, że się skarżyć nie chcesz. Tego mi jeno żal, że taką byśmy raz dobrą mieli sprawę przeciwko tym pachołkom Czarnkowskiego. No, ale ich jeszcze kiedy przyciśniem!

Hieronim nie przypuszczał wtedy, jak prędko będzie miał sprawę przed rektorskim sądem, i jakie ważne zmiany pociągnie ona za sobą. Zaczęło się od figlów, ale skończyło nie na zabawie.

Mianowicie Pietrek, odkąd dowiedział się o dziwnem przyrodzeniu Kaspra, syna wdowy Agnieszki, nie miał chwili spokoju w domu i poza domem.

O Kasprze tylko ciągle przemyśliwał, dziwował mu się, ustawicznie nad nim medytował; tak jakby w nim się na śmierć i życie rozmiłował. Najwięcej w tem było ciekawości: coby Kasper zrobił, gdyby go przestraszyć? Jaki psalm by wtedy mówił? A gdyby rozsrożony nic nie wykrztusił, udławiłby się, czy nie?

Tak Pietrek rozmyślał, i aż go piekło, żeby popróbować jakiej sztuczki z Kasprem. Tak go pilnie doglądał, tak za nim wysyłał swój słuch po całym domu, że wiedział wkońcu wszystko i znał każde Kasprowe stąpnięcie, wszystkie zwyczaje.

Otóż Kasper lubił dobrze zjeść i dobrze wypić. To go czyniło ciężkim i małomównym, że w domu to wszystko miał. Bo inna jest rzecz biesiadować z przyjaciółmi, przy stole ozdobnie nakrytym, różami zlekka zarzuconym, wiodąc rozmowę, owe dysputy długie i nadewszystko miłe, uczone a dowcipne, dobrej myśli zarówno jak mądrości pełne—a co innego w kącie siadłszy, od innych plecami się zastawić i dobroci jedzenia i picia doświadczać, grubo i łapczywie, jak wilk

albo pies, który co porwawszy, najpierw w kąt niesie, gdzie się ukrywszy, dopiero to zjada. Tak i pan Kasper za nic sobie miał ludzką rozmowę i ozdobność jej, a daleko więcej smakował w winie i mięsie, w miodzie, piernikach i orzechach, gdy go nikt nie widział przy tem zajęciu, i nikt, ani nawet spojrzeniem, mu nie przeszkadzał. Lubił bowiem wygodę i nieruchomość na miękkiem siedzeniu.

Pewnej niedzieli, wnet jakoś po przybyciu żaków do wdowiego domu, pani Agnieszka pięknie ustrojona, ze swemi dziewczętami służebnemi i z czeladzią wybierała się do kościoła, i namawiała syna, by wyszedł razem z nimi. Ale on się ociągał, gderał, poziewał — mówił, że przyjdzie później, zaraz, tylko się przystojniej ubierze, a tymczasem prosił, by nań dłużej nie czekano i by sami szli.

Pietrek słuchał tego wszystkiego ze swego okienka. Widział, jak wszyscy poszli, a Kasper został. Przyczaił się nieruchomo, słuchając, co będzie robił Kasper na dole. Słyszał, jak chodził leniwie po izbach, włócząc ociężale nogami. Potem stanął: coś zachrobotało, coś stuknęło.

Ciekawość nie dała Pietrkowi ustać: cicho i lekko zbiegł na dół i wśliznął się do ciemnej sieni, jak kot, który słyszy myszy. Tu daleko więcej słyszał, a przez drzwi otwarte do izby widział także choć część szaf i ławek, i róg stołu.

Ujrzał po małej chwili, jak Kasper przyniósł sobie talerz, na nim pół pieczonego kapłona. Poszedł, i przyniósł sobie zielonej sałaty i białego chleba. Wszystko to ustawiał na stole i Pietrek widział to dobrze. Poszedł znów i przyniósł szklankę rzniętą wielką i cynowy dzbanek od wina. Ale zajrzał do dzbana i skrzywił się szkaradnie: widać mało znajdował wina.

— Ba, ba!—zamruczał, i obejrzał się za kluczem do piwnicy. Nie był wymowny, ale Pietrek w lot zrozumiał, co Kasper czynić zamierza, i uradował się, przeczuwając jakąś dobrą sposobność do psoty, nad którą tak sobie już głowę suszył.

Jakoż wnet Kasper z kluczem w ręku i z dzbankiem wszedł do sieni i skierował się prosto do klapy z desek, zakrywającej wejście do piwnicy. Postawił dzbanek, otworzył kłódkę, podniósł klapę i zlazł na dół schodkami, zabierając ze sobą dzban.

Macał coś w piwnicy i stąpał po piasku, wreszcie natknąwszy się na beczkę, której szukał, zaczął postępować i ciężko sapać, widać nie mógł jakoś sobie z nią dać rady.

— A nuż mnie zawoła do pomocy? — pomyślał Pietrek, i głośno odkaszlnąwszy: hem! hem! z hałasem niby wszedł do sieni.

— A kto tam?—zawołał Kasper z piwnicy.

— To ja, Pietrek student.

— Pójdź jeno tu!—odrzekł Kasper zdyszany — bo nijak tej baryłce nie mogę poradzić. Niech ją licho! — stęknął.

Pietrek do końca nie dosłuchał i już był na dole. W lot obejrzał niską piwnicę: miała jedno malutkie okienko od dziedzińca, z którego szło skąpe światło, rozłożone blademi pasmami na wilgotnych ścianach i na czarnych baryłach, ułożonych jedna na drugiej pod ścianą.

— Pójdź-no — powiedział Kasper, nachylony nad wielką baryłką — zajdź mi z prawej strony i weź dzbanek.

Baryłka ta, wielka i ciężka, stała sama jedna w ciemnym kącie, a Kasper chciał ją położyć, by natoczyć z niej wina.

Dziurę do toczenia miała w denku. Kasper już wyjął czop i założył inny, w którym tkwiła drewniana rurka do spuszczania wina. Ale sam nie mógł położyć beczki, bo jednocześnie trzeba było

trzymać dzbanek pod rurką, by wino nie płynęło w piasek.

— Trzymaj dzban pod rurą, a ja ją położę – rozkazał.

Pietrek zręcznie podstawił dzbanek i w miarę jak Kasper kładł beczkę, on obniżał dzbanek, do którego wnet zaczęło ciurkiem płynąć ciemne i pachnące wino.

Kasper słodko westchnąwszy, gdy już beczka leżała, przyszedł zastąpić Pietrka przy trzymaniu dzbana. Pietrek odsunął się i czekał. Już mu błysnęła myśl, co ma zrobić.

— Dosyć—powiedział wkońcu Kasper, utoczywszy pełny dzbanek, i zamykając wielkim palcem otwór rurki—weź dzbanek i odstaw, żebyśmy go nie przewrócili.

Pietrek wziął dzbanek, zaniósł w drugi kąt i postawił tam na jakiejś beczce.

— Teraz pójdź tu, podniesiemy ją.

— A sam nie podniesiesz?—spytał Pietrek.

— Jakże podniosę, kiedy ręki odjąć nie mogę, żeby wino nie szło? — popędliwie odparł Kasper.

Tego tylko trzeba była Pietrkowi.

— A gdzie to czop?—zawołał nagle.

Czop wcale jeszcze nie był potrzebny, aż jak się beczkę postawi do góry denkiem i można będzie wyjąć rurkę. To też Kasper, jak stał wpół zgięty, trzymając otwór palcem, tak tupnął nogą, i krzyknął:

— Nie o czop się kłopocz, wardęgo, jeno chodź dźwigać!

Pietrek, jakby nie rozumiał, kręcił się wkoło, szukając.

— Czop, czop! Gdzie się podział? Gdzieś go położył? Gdzie to czop?

Tu już Kasper nie mógł wytrzymać, a jeszcze krew mu do głowy napływała, bo był schylony prawie do ziemi.

— Pójdziesz tu?—krzyknął—wartko!

Pietrek odskoczył:

— Czopa niema! Jakże bez czopa? Czop! Czop!

Kasper tupnął nogą i już oniemiał. Otworzył usta i krztusił:

— Ty, www...

— Jej, jej!—krzyknął Pietrek niby przerażony, i wyskoczył do sieni po schodkach, wołając: dusi się! dusi się!

Nikogo nie było, i wiedział, że nikt tak się odrazu nie zjawi. Ucichł i słuchał, a Kasper sapał i krztusił się w piwnicy, aż odezwał się:

— Confitebor tibi Domine in toto corde meo.—Czekaj piekielniku, jak cię złowię!

Pietrek dusił się ze śmiechu.

— Laetabor et exultabo in te—ze skóry obłupię!

Wtem drzwi od ulicy skrzypnęły. Pietrek wionął za pakę, która stała w sieni i skrył się.

Wróciła gospodyni z kościoła sama jedna. Zdziwiła się, że niema syna, a wszystko otwarte stoi, ale aż się przestraszyła, ujrzawszy przygotowane jedzenie na stole.

— Nic innego, jeno nieszczęście! — zawołała.

(D. c. n.)

PURPUROWE PŁOMIENIE.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE

przez J. P.

Ciąg dalszy

Tam pozostać musiał kilka dni, gdyż dostał silnej gorączki, która go pozbawiła przytomności. Młode jego siły jednak przezwyciężyły wkrótce chorobę i mógł powrócić do swego zajazdu.

Oczekiwały go tam stosy listów z najdziwaczniejszemi propozycjami. Dyrektor pewnego cyrku chciał inscenizować ów pożar i zaangażował młodego majtka na występy. Wiele listów zawierało również propozycje małżeństwa.

Robert ze śmiechem odkładał na bok przeczytane oferty. Jaki to dziwny kraj ta Ameryka! Ten entuzjazm nie miał dla niego uroku; miał już dosyć tego wszystkiego i pragnął powrócić na statek, tembardziej, że urlop jego już się kończył. Za kilka dni „Persja” wyrusza w nową podróż, a wtedy cały wypadek pożaru pozostanie dla Roberta wspomnieniem.

W ostatnim dniu urlopu młody majtek stał przed bramą oberży i czekał na dorożkę, która go miała odwieźć do portu wraz z rzeczami. Przed chwilą otrzymał przyznaną sobie nagrodę i cieszył się bardzo, czując szeleszczące banknoty w kieszeni.

Wtem przed bramę nadjechał samochód hotelu „Astor”, drzwiczki się otworzyły i wyskoczył z niego czarno ubrany służący, który zaczął rozpytywać, czy tutaj mieszka majtek linji Hamburg—Ameryka nazwiskiem Molski.

— Ja nim jestem — odrzekł Robert.

— Zamieszkujący w hotelu „Astor”, Jack West, chce pana poznać; proszę, niech pan wsiada.

To mówiąc, służący trzymał drzwiczki samochodu otwarte i ręką wskazywał jego wnętrze.

— Zgadzam się, ale pod warunkiem, że mnie pan potem odwiezie do portu na statek „Persja” — odparł młodzieniec.

Służący skłonił się twierdząco, i Robert wraz ze swym pakunkiem zajął miejsce w samochodzie. Podręczna jego torba podróżna zawierała różne listy, których nie zdążył jeszcze odczytać; miał zamiar uczynić to na pokładzie „Persji”, w chwilach wolnych od zajęć.

Po przybyciu do hotelu „Astor”, jedna z licznych wind zawiozła Roberta na pierwsze piętro. Przepych, w jakich się znalazł, połysk marmurów na ścianach, miękkość kosztownych smyrneńskich dywanów, któremi była zasłana podłoga, wszystko to zmieszało go i onieśmieliło na razie. Czarno ubrany służący towarzyszył mu ciągle;

teraz otworzył przed nim drzwi, wiodące do salonu.

W wygodnym głębokim fotelu siedział, paląc cygaro, słynny miljoner amerykański, Jack West, właściciel rozległych ferm w stanie Texas. Skinął dłonią i służący z głębokim ukłonem zniknął za drzwiami.

Jack West spoglądał na Roberta wzrokiem, jakim się ogląda ciekawe zwierzę w menażerji.

— Well *) — odezwał się po chwili, gdy zauważył na twarzy młodego majtka wyraz zniecierpliwienia. — You are young zailor, the man of a deed **)? Takiego właśnie poszukuję, a pan mi się podoba.

Przy tych słowach wzrok jego leniwie, a badawczo przesunął się po całej postaci Roberta. Miljoner palił spokojnie swe dwudolarowe cygaro i popijał wolno czarną kawę z filiżanki, tak cienkiej, iż prawie przezroczej.

— Zamierzam odbyć podróż moim jachtem na południowe wyspy — zaczął wreszcie powoli, akcentując każdy wyraz — i do tego chcę pana zaangażować. Oto dwieście dolarów zaliczki,—dodał, wręczając Robertowi paczkę banknotów.

Młody majtek nie przyjął pieniędzy.

— Jestem majtkiem na okręcie „Persja" i muszę tam powracać, ponieważ kończy się już mój urlop. Dziękuję więc panu bardzo za pańską propozycję.

— Oh, pan musi ze mną pojechać; pomówię z pańskim kapitanem.

To mówiąc, przycisnął guzik dzwonka elektrycznego, umieszczonego na biurku, a gdy wszedł służący, Dan, rzucił mu rozkaz:

— Chcę mówić z kapitanem „Persji".

— W tej chwili połączę pana.

Wielkie parowce oceanu mają w czasie postoju w portach połączenie telefoniczne z miastem.

Robert wykonał niechętny ruch ręką:

— To jest bezcelowe, panie, gdyż pozostanę na „Persji".

Słowa marynarza nie wywarły na amerykaninie żadnego wrażenia. Zaciągnął się kilka razy cygarem, gdy wtem odezwał się dzwonek aparatu, stojącego na biurku:

— Jack West z Texas.

Rozmowa prowadzona była początkowo w tonie niedbałym i chłodnym, ale w miarę trwania, głos amerykanina stawał się coraz bardziej wzburzonym.

— Złożę w pana biurze pięć tysięcy dolarów na rok. Po upływie tego czasu oddam panu pańskiego majtka, chyba, że sam będzie wolał pozostać u mnie... All right.

Zwracając się do Roberta, rzekł przyjacielsko:

— Kapitan zgadza się. W księdze służbowej „Persji" będzie pan zapisany, jako przebywający w dalszym ciągu na urlopie; po upływie roku może pan powrócić na jej pokład, lub pozostać u mnie. Pozostałe rzeczy pańskie i urlop będą tutaj za godzinę.

Robert był zdumiony w najwyższym stopniu; uwierzyć nie mógł, aby kapitan mógł się zgodzić na podobną propozycję.

— My w Ameryce nie tracimy wiele słów napróżno, panie Molski, — odezwał się Jack West z uśmiechem,— działamy szybko i dochodzimy dużo prędzej do celu, niż wy tam w starej Europie, gdzie przed każdym przedsięwzięciem musi być rozważone tysiąc okoliczności. W sąsiednim pokoju jest dla pana przyrządzone śniadanie; proszę się posilić, zanim nadejdzie zezwolenie kapitana.

Służący, który bez szelestu wszedł przed chwilą, zaprowadził młodego marynarza do stołu, uginającego się pod przepychem

*) Dobrze. **) Jesteś pan młodym majtkiem, człowiekiem czynu?

i bogactwem sreber, i zastawionego najwyszukańszemi potrawami.

— Pan Jack West prosi, abyś pan zechciał zająć miejsce — rzekł czarno ubrany Dan.

Robertowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zdrowy żołądek marynarza może dużo pochłonąć, przytem młodzieniec nalewał sobie mocnego wina jedną szklankę za drugą. Na zakończenie zapalił wonne hawańskie cygaro, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie palił i wypił kieliszek likieru, koloru opalu, który dziwny na nim wywarł skutek.

Poczuł się jakby w stanie jasnowidzenia. Przed oczyma jego powstawały cudowne, porosłe palmami wyspy, na brzegach ich roiły się postacie czerwonoskórych nagich ludzi i nigdy nie widzianych zwierząt; różnobarwne ptaki kołysały się na gałęziach wysokich, potężnych drzew. W uszach dźwięczały mu tony słodkiej, pieszczotliwej muzyki; zdawało mu się, że śni jakąś cudowną bajkę, a jednak szeroko otwarte oczy jego starały się zatrzymać przesuwające się obrazy.

Nagłe wszystko zostało zalane potokiem migocącego światła; ze światła tego wydzieliły się dwa purpurowe płomienie i zwolna podsunęły się ku niemu. Były tak blizko, że mógł je dotknąć ręką. Płomienie te nie parzyły, dawały tylko łagodne światło, a głos tajemniczy, wychodzący z nich, szepnął:

— Na całej kuli ziemskiej siła i czyn zawsze są najlepszemi dozorcami. Czerwone światło obiecuje ci pomoc w każdej potrzebie, a purpurowe płomienie zawsze czuwać przy tobie będą.

Po tych słowach wszystko nagle zniknęło.

Robert przecierał oczy, aby zdać sobie sprawę, czy śnił na jawie. Widocznie przyczyną tego były napoje przy śniadaniu, chociaż zazwyczaj młody majtek miał bardzo mocną głowę. Poruszywszy się na krześle, przekonał się jednak, że nie był to sen, gdyż w zaciśniętej ręce trzymał stalowy przedmiot, przypominający zapalniczkę. Zaciekawiony nacisnął guziczek, przytrzymujący wieko, a gdy to odskoczyło, z pudełka wysunęły się dwa purpurowe promienie, które przy zatrzaśnięciu wieka, schowały się znów.

W tej chwili zjawił się przed nim Jack West ze słowami:

— Nadeszło pozwolenie od kapitana „Persji”. Niech pan idzie za mną.

Od tej chwili młody marynarz był jakby odmieniony. Czuł w sobie niepohamowaną żądzę zobaczenia dalekich krajów na Oceanie Spokojnym: marzył, aby ujrzeć raz jeszcze i to nie we śnie przepyszną, rajską wprost przyrodę i poznać obyczaje ludów, zamieszkujących te wyspy.

Jack West postawił na swojem!

Umowę o warunkach Robert bez namysłu podpisał i oczekiwał z niecierpliwością i niepokojem początku swej działalności.

W kilka dni potem Dan wezwał go do salonu.

Jack West zamienił z nim tylko kilka słów w obecności służącego.

— Będę cię nazywać Bob, mój chłopcze — rzekł do Roberta,—dzisiaj jeszcze pojedziesz do San Antonio w Texas, a stamtąd udasz się do mojej fermy. Ja niezadługo podążę za tobą. Wszelkich objaśnień udzieli ci Dan.

ROZDZIAŁ II.

U cowboy'ów w Texas.

W San Antonio, głównym węzłowym punkcie linji Southern Pocifis i wielkiej międzynarodowej północnej kolei, rozpytał się Robert o dalszą drogę do olbrzymiej

fermy Jacka Westa, która leżała na północ od fortu San Houston. W mieście kipiało życie. Ożywiony wielce handel bydłem, skórami i bawełną, wywołał potrzebę powstania wielkich domów handlowych. Robert został zaliczony do jednego z nich, będącego własnością firmy Jack West. Gdy się tam udał, zastał dyrektora biura już powiadomionego o jego przybyciu.

— Za dwa dni przybędą tutaj cowboy'owie naszej firmy z partją koni. Będzie im pan towarzyszył do fermy.

W biurze Robert dowiedział się, że pan Jan West, mający lat około 50-ciu, przybył niezbyt dawno do San Antonio i w krótkim przeciągu czasu zakupił olbrzymie obszary ziemi, na których zaprowadził hodowlę koni i bydła, robiąc tem konkurencję pani Helenie King. Fermy ich graniczyły ze sobą i wszystkim było wiadomo, jak często były z tego powodu sprzeczki cowboy'ów, co niezmiernie gniewało burmistrza miasta.

Drugiego dnia po przybyciu Roberta do San Antonio stał przed drzwiami jego hotelu koń, bogato osiodłany zwyczajem meksykańskim. Za cugle trzymał go młody cowboy o zuchwałym wyrazie twarzy i uśmiechał się drwiąco, gdy młody majtek nieco niezręcznie wsiadał na siodło.

— Niech pan mocno siedzi, panie Moller. To nie jest czółno i łatwo mógłby pan wejść w bliższe zetknięcie z błotem ulicznem.

W odległości pięciu do sześciu godzin drogi od San Antonio, prerja przechodzi w grunt falisty; w dalszej drodze pagórki stają się coraz więcej strome, a po przebyciu trzydziestu mil angielskich, doliny stopniowo się ścieśniają. W tych okolicach, obfitych w kopalnie wapniaka, ziemia ma niezmiernie ciemną barwę, i pokryta jest obfitą i bardzo wysoką trawą.

Gdzieniegdzie trafiają się wielkie kaktusy, juki i agawy. Dalej schodzi znów w doliny, biegnąc wzdłuż dopływów Missuri, porośniętych gajami dębów i innych drzew liściastych.

Przed oczami Roberta rozpostarła się rozległa prerja, na której pasło się stado koni, liczące około 200 sztuk. Cowboy'owie objaśnili go, że tu właśnie graniczy ferma Heleny King z posiadłościami p. West.

— Pragnąłbym zobaczyć zblizka to stado — rzekł młodzieniec, zwracając się do cowboy'ów.

— Owszem, jeżeli pan sobie życzy — i wypuścił swego konia w cwał.

Zaledwie jednak zbliżył się do pasących mustangów, gdy te, spłoszone, zbiły się w gromadę i w szalonym pędzie poczęły uciekać.

Do tej pory znajomość konnej jazdy Roberta wystarczała mu w tej podróży, zawiodła go jednak, gdy rumak jego, zapewne niedawno dopiero złapany w stepach i mało ujeżdżony, idąc za przykładem swych dzikich towarzyszy, pomknął galopem za uciekającem stadem.

— Hej panie! — wołali za nim cowboy'owie,—zbliża się pan ku granicy, a nie zechcesz chyba złożyć wizyty Helenie King.

(D. c. n.).

TEOFIL LENARTOWICZ.

DZWON ZYGMUNTA.

DOKOŃCZENIE.

A król w te czasy gdzie się podziewa?
Do kuźnic chadza, do płatnerskich,
Doziera mocnych zbrój rycerskich,
Żelazne smoki więc odlewa,
I nad graniczne wody, góry,
Nieprzełomione stawia mury.
Bo choć kraj na to ma urzędy,
Jednak król Zygmunt wejrzy wszędy.

Gwarkowie czarne łamią skały,
Huki a szczęki w górach młota,
W rękach, aż pali się robota,
W oczach się szumne wznoszą wały.
A zboża w pas, bo wróg nie grabi,
A skrzynie pełne, śpichrze pełne.
Wszystko od złota, od jedwabi,
I najuboższy odzian w wełnę.

Niewiasty w szubach, drogich lamach,
Po murach zacne malowidła,
I jagielloński orzeł w bramach
Swe pozłociste rozpiął skrzydła.
Starego króla to zabawa,
Nocy nie dośpi, do dnia wstawa,
Zanim na jutrznie brzękną dzwony,
Już król w kaplicy swej zamkowej;
Złoty mu czepiec świeci z głowy,
Bogaj papieski dar ceniony.
To jeszcze będzie dobrze szaro,
A ona służba wierna, boża,
Już widzi króla głowę starą,
Jak się tam Bogu upokorza,
Jak schodzi stary pan okryty,
Z krużganków z lampką przede świty.

K'temu to straszna jest powaga,
Kiedy król taki Boga błaga.
Więc różne myśli przejdą człeka,
Bo to tam sądów naród czeka.
A kto chce wiedzieć, gdzie w tej dobie
Król Jego Miłość gościć raczy,
Ku grodzkiej bramie daj czas sobie,
A pewnie pana tam zobaczy...

Wrą tam żelaza w ogniach piecy,
Ognistą się staczają rzeką,
Kędy gisery kruszce wleką,
Nieczułe obnażywszy plecy.
I owo Lechii król łaskawy,
Ojczyców cnoty dziedzic prawy,
Nie wielomowny, krótki w rzeczy,
Lecz gdy chcesz doznać wagi słowa,
To byś brał próbę starych mieczy,
Którym dziś równych nikt nie kowa.

Więc w dymach, co z tych pieców dymią,
U cnej giserskiej tam roboty,
Zobaczysz ojca czepiec złoty,
I najpierw cię się strachy imią...
Alić gdy wzrok się z onym spotka
Synowsko serce się rozczula,
I wdzięczna myśl przybywa słodka,
Że nam Bóg zdarzył tego króla.
Więc i otucha wnet się bierze,
Że ten poważny pan, spokojny,
Czasu pokoju, czasu wojny,
Ciebie i twoje dziatki strzeże,
I k'mieczu żwawo schylisz czoła,
Gotowość znając, gdy zawoła.

Przy królu biskup kanclerz stawa,
Rada i króla ręka prawa.
Ostrogskie książę, Jan z Tarnowa,
I drugie męże kołem staną;
Rotmistrze, które król ten chowa,
We zbrój przywdziane szmelcowaną;
A pióra wielkie im żurawie,
Podwakroć hełm przechodzą prawie;
Oprawne skrzydła z bark srebrzeją,
A z oczu chuć im skrzy marsowa.

I owoć dzwonu forma nowa,
A w nią gisery bronzy leją.
Więc każdy k'większej chwale bożej
Do onej pracy się przyłoży,
Gdy król te godne słowa rzecze:
— We dzwonie tym niech wiek mój gada! —
I pancerz srebrny z piersi zwlecze,
I ony pancerz w ogień wpada,
Co dłutowanym swym obrazem
Na tej szerokiej piersi srogiej,
Nim król uderzył wręcz żelazem,
Chmurą lecące płoszył wrogi;
Pancerz, na który patrząc z chlubą,
Lud prawił: Oto Lechia w zbroi;
A kto tę złamie zbroję grubą?
A kto nas bracia, gdyśwa swoi?...
Takiego świadka spraw pół wieka
Z rycerskiej piersi Zygmunt zwleka,
I w płomień pieców tam czerwony
Zapada srebrny pancerz ony.
A kiedy w rzece ognia spłynął,
W przejasne się rozchodząc smugi,
Hetman, co w radzie króla słynął
Przez cały wiek Zygmunta długi,
Do boju miecz, do rady głowa,
A w pracy pola nie zależał,
A w bitwach tomu kark się zjeżał,
Jakoby lew nie Jan z Tarnowa,
Człek niewściągnionej w boju ręki,
Ale po boju dziwnie miękki —
Jan, na wieczystą rzeczy sławę,
Do ognia wmiotał swą buławę.
Ostrogskie zaś to orle nasze,
Jak stał we zbrojej hecowanej,
Od bioder ciężki miecz odpasze,
Licznemi karby karbowany:
A każdy szczerb — to pękła zbroja,
To tryumf Polski, sława twoja,
To krew dzikiego tam Tatara,
To męża tego moc i wiara;
Miecz, co na wrogu trwogi wznieca,
I hordy pędzi w smycz zuchwałe,
Ten ciężki miecz, żelazo białe,
Ostrogski rzuci w żary pieca.
Więc biskup kanclerz wzniósł pastorał,
A kmieć ubogi z polskiej roli,
Królowi panu swemu k'woli,
To radło, którem kraj oborał.
I wyszedł z formy dzwon nad dzwony
I był na imię króla chrzczony.
I herb też na się wziął koronny,
Który wywiesza król tej Laszy:
Orła, co wszelkie ptactwo straszy,
I w zbrojej mąż litewski konny.

A gdy uderzył król weń młotem,
Doświadczyć rady bronzu głosów,
Alić mu dzwon odpowie grzmotem
I aniołami od niebiosów.
Więc się zadumał starzec złoty;
A jeśliś wiedzieć rad powodu,
Owoć, to taki głos miał z miodu,
Gdy po granicach wodził roty
I w bój je puszczał, dzierżąc w mierze,
W czuwaniu dobrze, w noce, we dni,
By lew, co gruby zwierz sam bierze,
A dziatki swe szczwa na pośledni.

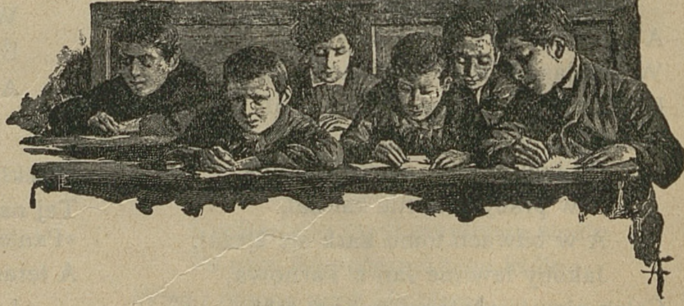
I rzekł, zwracając twarz rzewliwą
Tej naszej Polski cny gospodarz:
«Panie, my szli na twoje żniwo,
A teraz, Ojcze, cóż nam podasz?...»
I patrzał wzwyż z hetmany swemi,
Z poważnem wielkich mężów gronem;
Kmieć jeno chudy padł do ziemi,
Czołem w nią bijąc uniżonem,
I zdał się wołać jękiem szlochu!...
Ty rzucasz w proch i wznosisz z prochu.

I na świątnicy zamku wieżę,
Która stolicy pańskiej strzeże,
Kazał król setce swych pachołów,
Aby ruszyła dzwonu z gruntów,
I założono sto par wołów,
I podniesiono dzwon Zygmuntów.
A kiedy biskup ręką skinie,
Żelazne serce się rozhula,
I huknie dzwon, jak serce króla,
I pieśnią w niebie się rozpłynie,
I lecą głosy na Tatr grzbiety,
Na Czarne morze, Bałtyk siny...

A kto w tej dzwonu złotej dumie
Zygmuntów wiek wysłuchać umie,
A kto zrozumie, czem król stary
Swe imię lał złotemi głoski,
Czem nawołuje wciąż do wiary
Od czterech wieków dzwon krakowski;
Taki i pokój będzie chował,
I ojcom hołd synowski złoży,
I ziemię będzie swą miłował,
I dom ojcowski i dom boży.
Ten ojców dróg się dowie z dzwonu,
Tchnienie go boże przejdzie wskrośnie,
Duch się w nim wzmoże i rozrośnie,
I będzie wierny aż do zgonu,
Żyw chodzić będzie po zakonie;
Taka jest cnota w starym dzwonie.

O! Janie, ojcze polskiej pieśni,
Jakież to czasy dusza nie śni!
To gdy się serce k'nim dostroi,
W tej czarnoleskich lip ustroni,
Może cień ujrzę skroni twojej,
Jak tam opiera się na dłoni.
I może uśmiech twój dopatrzę
Że wiek Zymunta, wiek bogaty,
W takie oblekam proste szaty...
Cóż, kiedy nie stać na bogatsze.

I ja z mą pieśnią idę w lasy,
A serce bije jak we młoty,
Lecz takie pieśni, jakie czasy:
Tyś widział wiek Zygmuntów złoty!



Marja Buyno.

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

— Jestem, synku! — szepnęła, a przytłumiony głos jej brzmiał niebywałą tkliwością i słodyczą.

Chłopiec miał oczy otwarte; spoglądały one jasno, przytomnie! Matka patrzyła w nie z rozpierającą piersi radością, choć lęk i rozpacz nie ustąpiły jeszcze z jej duszy.

— Mamo! Co się stało? — odezwał się znów chory słabiutkim głosem.

— Nic, dziecino, nic, najdroższe moje kochanie,—odparła matka, padając przed łóżkiem na kolana.

— Mamo, ty płaczesz?

— To z radości, synku, ze szczęścia...

Chory zamilkł; słodki uśmiech nie schodził z jego ust, lecz senne powieki już opadały na oczy. Zasnął, oddychając spokojnie, równo...

Przy łóżku stał i dr. Ksawery. Położył rękę na czole chłopca, wsłuchiwał się w jego oddech, badał puls uważnie, jakby nie śmiał jeszcze wierzyć. Wreszcie nie miał już wątpliwości i stanowczym pewnym głosem, w którym drgała nieskończona radość, rzucił jedno słowo, które jak najpiękniejsza muzyka zagrało w sercu matki!...

— Ocalony!

Widział jeszcze Zygmunt, jak zimna pani ustępowała z pokoju, bezsilna, osłabła, wlokąc za sobą ciężkie skrzydła. A potem ogarnęła go ciemność.

. . . .

Gdy o godzinie 7-ej rano Franciszka wychodziła z domu po zakupy ranne, drzwi oparły się jej starym rękom, nie chcąc ustąpić.

— Zardzewiały, czy co! — szepnęła i pchnęła silniej.

Z pod drzwi usunęła się jakaś ciężka masa i zdumiona Franciszka, wyszedłszy, ujrzała chłopca klęczącego, z głową opartą o framugę. Był bardzo blady, oczy miał zaczerwienione, a w całej postaci widać było nadzwyczajne znużenie.

— Jezus, Marja! A to co takiego! — wykrzyknęła, cofając się ku drzwiom.

Chłopiec, jakby ocucony tem wykrzyknikiem, podniósł na nią swe piękne, w tej chwili śmiertelnie znużone oczy, w których malowało się pytanie, pełne nadziei i lęku.

— Żyje?...

— Żyje, żyje, nasze słonko umiłowane! Żyje i żyć będzie! O, ten doktór, to święty człowiek! Bodajby całe życie jego było tak radosne, jak dla nas chwila, w której dowiedzieliśmy się, że śmierć odstąpiła nasze ukochane dziecko!

Franciszkowa była tak szczęśliwa, iż nie dziwiła się nawet niespodziewanemu zjawieniu się pod drzwiami chłopca. Chciał zapytać o Michasia i już! A teraz dowiedział się radosnej nowiny i odchodzi. O, Franciszka, mimo swych 60-ciu lat potrafiłaby dziś skakać niegorzej, niż koledzy Michasia. I śmiałaby się bezustanku, całowałaby i ściskała wszystkich...

Zygmunt schodził szybko ze schodów.

— Po co się pytałem? Przecież wiedziałem, że jest ocalony, słyszałem, jak to mówił dr. Ksawery, — myślał, idąc do domu.

Służąca, otworzywszy mu drzwi, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— A skąd to panicz wraca? — zapytała.

— Od kolegi!

— Tak późno albo raczej wcześnie, — pokręciła głową, lecz spojrzawszy w twarz chłopca, dodała:

— Trzeba się zaraz położyć! Panicz zmęczony.

Zygmunt rzucił się na łóżko i za chwilę zasnął twardo.

*
* *

W klasie panował nastrój, pełen oczekiwania i niepokoju. Chłopcy grupowali się koło Witolda, chociaż ten nic im nowego nie mógł dziś powiedzieć. Nieobecności Zygmunta w klasie nikt nie zauważył. Podniecenie chłopców było tak wielkie a trwożne wyczekiwanie wieści tak męczące, iż Witold postanowił opuścić trzecią lekcję, by się dowiedzieć, co się dzieje z Michasiem.

— Pojedź, wrócisz prędzej! — proszono.

— Ah, zapomniałem portmonetki; nie będę miał na dorożkę! — tłomaczył się Witold, sięgnąwszy z zakłopotaniem do kieszeni.

— My ci damy!

I za chwilę dwie czterdziestówki znalazły się w rękach Witolda!

Na trzeciej lekcji chłopcy siedzieli, jak na szpilkach: jedni robili wyliczenia, ile czasu trzeba, by przebyć przestrzeń, dzielącą szkołę od mieszkania Michasia tam i z powrotem, inni zaglądali bezustannie do korytarza, a wszyscy niemal bez wyjątku, byli tak nieuważni, iż nauczyciel wyraził z tego powodu swe wielkie zdziwienie.

Wreszcie drzwi rozwarły się z łoskotem i do klasy wpadł, jak huragan, Witold.

Zanim profesor zdołał go skarcić za tak gwałtowne wtargnięcie, chłopiec wyrzucił ze siebie jednym tchem:

— Niebezpieczeństwo minęło! Będzie żył! Wszyscy, jak oszaleli z radości!

— Ależ chłopcy, co to znaczy? — gromił nauczyciel, lecz wnet otoczono go, wyskakując z ławek i dzieląc się radosną nowiną.

Gdy się nieco uciszyło, profesor zauważył:

— Wasza żywa radość z powodu wyzdrowienia kolegi jest mi bardzo miłą. Lecz, przyznaję, że nie sądziłem, abyście tak bardzo lubili Strzembosza. Przeciwnie zdawało mi się, że istnieje w klasie pewna dla niego niechęć.

— Właściwie, to tak niby było. Ale to nie bardzo nasza wina.

I tak jakoś niewiadomo kiedy i przez kogo rzucone, padłe oskarżenie, że to właściwie Zygmunt odstręczał od kolegów Michasia!

— Hm, taki solidny chłopiec, jak Zygmunt, nie wydawałby wyroku bez powodu — rzekł profesor, dla którego cała sprawa nie przedstawiała się zupełnie jasno.— Ale teraz, po wybuchu pierwszej radości, zabierajmy się do lekcji. I tak dużo czasu straciliśmy.

* *
*

W małym mieszkanku na trzecim piętrze, w którym przez wiele dni gościły rozpacz i śmiertelna obawa, w którym zamarł śmiech i wesele, a tłukły się wszędzie trwożne westchnienia, niespokojne bicia serca, w którym obawiano się odetchnąć swobodnie, stąpnąć głośniej, mówić inaczej, niż szeptem, — jakby słońce nagle zabłysło i zapełniło całą przestrzeń swemi złocistemi, ciepłemi promieniami!

Michaś był ocalony, tak zadecydował doktór Ksawery. Nie znaczyło to, żeby niebezpieczeństwo było całkowicie usunięte. Wyczerpany długą, silną gorączką organizm bardzo powoli odzyskiwać będzie dawne siły. Niewiadomo było przytem, czy choroba nie zostawi po sobie jakich ciężkich śladów...

— Dotąd byliśmy bezsilni — mówił doktór, — musieliśmy czekać bezradnie, pomagając jedynie naturze. Teraz na nas kolej! Od naszych starań, naszej pieczołowitości zależy życie dziecka, jego prędki powrót do zdrowia. Na początek trzeba, żeby pani poszła spać!

Pani Strzemboszowa zaprotestowała.

— To raczej doktór powinien się położyć! Jestem tak szczęśliwą! nie czuję nawet odrobiny zmęczenia.

— O, o, o! To się nazywa rozsądne gadanie! Sił pani dużo jeszcze potrzebować będzie, trzeba je oszczędzać!

Namówiwszy wreszcie matkę do udania się na spoczynek, dobry człowiek usiadł w fotelu i czuwając, wpatrywał się w śpiącego chłopca. Oddychał zupełnie równo, spokojnie, głowa straciła swą sztywność, ręce spoczywały swobodnie na kołdrze.

— Oj, ty chłopaku! Ani wiesz, śpiąc

teraz zbawczym, posilnym snem, co to koło ciebie uczuć się skupiło! Ile tu było męki i rozpaczy, nadziei i wiary!... — dumał, patrząc na wychudłą twarzyczkę. — Swoją drogą zuch jesteś, żeś się nie dał!

Powoli, widząc, że choremu nie będzie potrzebny, zdrzemnął się a miły, dobrotliwy uśmiech dowodził, że śnił sny piękne!

Witolda, gdy przyszedł dowiedzieć się o zdrowie Michasia, przywitano bardzo życzliwie.

— Cóż to za kochany chłopiec! — mówiła pani Strzemboszowa. — Ile serdecznych troskliwości, okazał podczas choroby Michasia.

A doktór Ksawery, nie wiadomo dlaczego, pomyślał zaraz o Zygmuncie, przypomniał sobie jego zachowanie, gdy przyszedł odwiedzić chorego; jego rozpacz tak widoczną i zupełne potem usunięcie się. Co to było? Dla czego? Słowa, rzucane przez chorego w gorączce dowodziły, że były w szkole jakieś nieporozumienia... Ale chyba Zygmunt nie był w to w mieszany?

— Przecież to czyste złoto, ten chopak! Ręczę, że nic złego nie mógł zrobic! — rozmyślał doktór, który wraz z ustąpieniem groźnego niebezpieczeństwa, odzyskiwał swój zwykły dar zastosowania się i obserwowania wszystkiego.—Muszę zobaczyć mojego chłopca i wybadać go! Ten Witold, chociaż wydaje się dobry, ale jakoś nie wygląda mi na bardzo szczerego!

Ale nastąpiły nowe kłopoty, wobec których szlachetny ten człowiek zapomniał o Zygmuncie. Doktór Ksawery miał bystre oczy, aby nie spostrzec, że pani Strzemboszowa ostatnie pieniądze wydała na lekarstwa. Wiedział też, że wszystkie lekcje porzuciła, stając przy łóżku chorego, a przecież było to jedyne źródło dochodów! Gdy więc miną pierwsze porywy radości, zaczną się rozpaczliwe wysiłki, by zdobyć pieniędzy na utrzymanie. Spostrzegł też, że Franciszka wynosiła z domu jakieś przedmioty i nie przynosiła ich z powrotem. Wzamian za to zjawiało się po kilka rubli.

D. c. n.

TRESURA ZWIERZĄT.

Ciąg dalszy.

Przedniejszą od nauki zwykłego chodzenia jest nauka psów-siłaczy.

Jakżeż dużo pracy i cierpliwości trzeba włożyć, by nauczyć psy podnoszenia ciężarów lub drabinek z małemi pieskami; w tym wypadku pomaga się psu, trzymając go na lince.

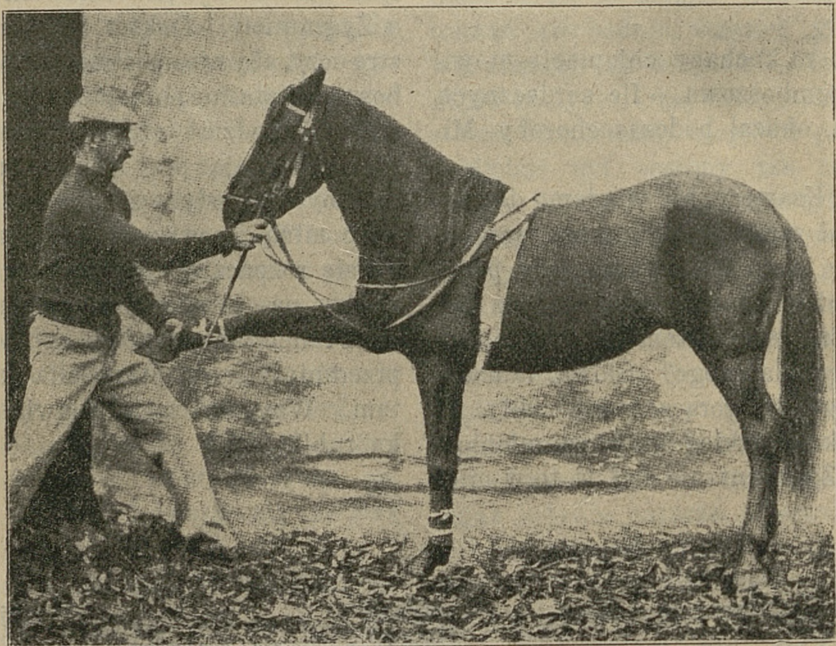
Znacznie ławiejsza jest z pozoru trudna gra psów na fortepianie. Chodzi tu tylko o to, aby pies składał lub rozkładał łapy, stosownie do dawanych przez pogromcę znaków, resztę wykonywa sam automatyczny fortepian. Gorzej bywa, gdy pies za prędko przestanie grać, a automat gra

dalej. Pomyślano jednak i o tem, to też robią automaty, które milkną zaraz, gdy żaden klawisz nie zostaje naciśnięty.

Trudną też sprawą jest ubranie psów i kotów. Budowa ich różni się o tyle od budowy ludzi, że dopasowanie kurtek i ineksprymabli staje się prawdziwą trudnością, największej jednak męczącą jest fryzura, która musi mieć druciane zabezpieczenia od rozlecenia się.

dawna jest rynkiem handlowym na afrykańskie Babuiny, rodzaj pawianów i japońskich kotów morskich. Są to najpodatniejsze do tresury gatunki. Niebezpieczne są jednak bardzo, nie można im zaufać, gdyż gryzą tak silnie, że pogromca musi na czas lekcji ubierać się w fechtunkową maskę i grube rękawiczki.

W wyższej szkole tresowania była raz tak dzika małpa, że nie pozwalała przy-



Tresowanie konia.

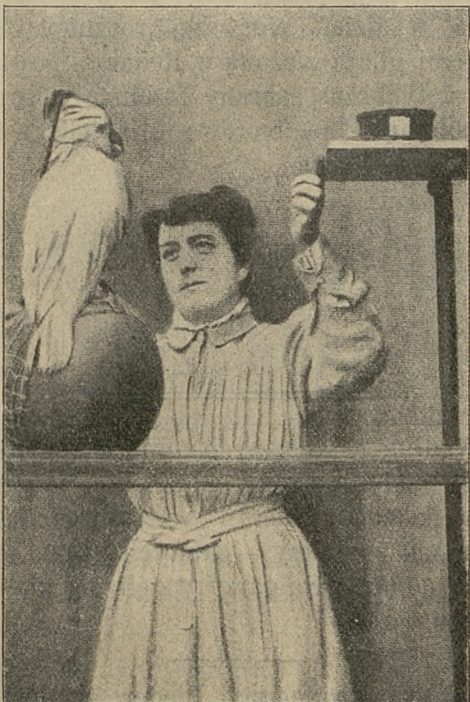
Niezmiernie długiej tresury potrzebują konie. Ażeby nauczyć ponny przyklękania, trzeba mu nałożyć bandaże poniżej kolan, do których umocowuje się liny, przeciągnięte przez kółka w podłodze. Później następuje długa nauka, zanim kucyk będzie umiał klękać bez tych pomocy.

Najmądrzejszemi, lecz zarazem szatańsko złośliwemi uczniami są małpy! Bywają one pojętniejsze od niejednego dwunogiego ucznia. Po większej części małpy sprowadzane są z Parmy, która już od-

stąpić do siebie. Uśmierzono jednak ją, strzelając przed nosem ze ślepego naboju. Małpa jednakże spokorniała do tego stopnia, że jaknajłagodniejsze stworzonko wyciągała łapy do zwiedzających. W innym oddziele odbywa się tresura ptaków. Tu nauczyciel trafia najlepiej do przekonania uczniów garścią ziarna. Znana jest sztuka w „Varietés”, gdzie gołębie obsiadają młodą dziewczynę, biało ubraną, przedstawiającą kopciuszka. Łatwo osiągnąć to, obsypując manekin ziarnem i stop-

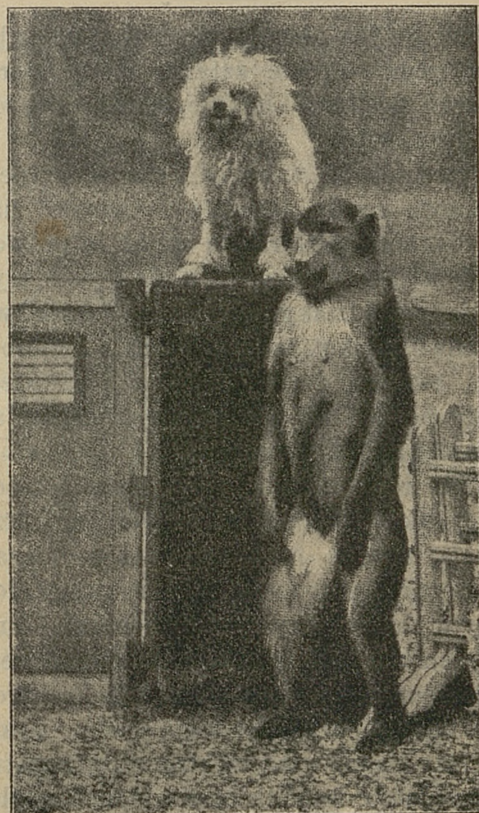
niowo przechodzić do tego stanu sztuki, jak ją widzimy na scenie.

Inne ptaki też są podatne do tresowania np. żółtodzioba kakadu. Na obrazku



Tresowanie papugi.

widzimy, jak nauczycielka uczy papugę huśtać się na dużej piłce, toczącej się po rynience. Papuga się dziwi, że grunt jej ucieka z pod łap, jak tylko zaryzykuje zrobić jeden krok, a nawet i bez tego trudno jej się na kuli utrzymać. Ale cukier w ręku nauczycielki robi swoje, a myśl o jego słodyczy dopomaga znacznie w sprawności wykonania ćwiczenia udatnie. Po udanej sztuce nauczycielka głaszcze kakadu tak umiejętnie, aby papuga wykonała drugą część ćwiczenia, a mianowicie, aby się schyliła, a zobaczywszy kawałek cukru na dole, zeskoczyła. Nic



Tresowanie psów.

dziwnego, że żółtodzioba papuga powtarza potem ten manewr bez głaskania nauczycielki.

Nauka angorskich kotów chodzenia po butelkach o wązkich szyjkach, jest łatwą do osiągnięcia, jeżeli wyzyskamy łakomstwo tych ostatnich.

D n.

Od Towarzystwa hygieny praktycznej im. Bolesława Prusa, otrzymaliśmy odezwę, którą poniżej umieszczamy.

Już siewca dawno zeszedł z pola, już ślady jego stóp się zatarły, kiedy ziarno przezeń posiane, kiełkuje, zieleni się, rośnie i zakwita.

Przez lat 40 Bolesław Prus orał glebę duchową swego narodu i siał zdrowe ziarno rozumu, powtarzając wciąż tę prawdę, że dopóki na świecie ogół nie będzie czysty, syty i odziany, dopóki nie będzie wygodnie mieszkał, zabezpieczony od choroby i na starość, dopóty sprawą pierwszego rzędu będzie nie poezja, nie estetyka, ale zdrowie i dobrobyt.

I oto rok już mija, jak zeszedł z pola pracy ukochany pisarz, a myśli jego przenikają zwolna mózg narodu, podniecają go do pracy, do podniesienia swego dobrobytu, do zwiększenia siły i energji. Z natchnienia Prusa powstałe i zdobne jego imieniem Towarzystwo Hygieny Praktycznej dąży obecnie do tego, ażeby wystawić w Warszawie, w dzielnicy robotniczej, wielkie kąpielisko, dostępne dla ubogiej ludności.

Umieszczeniem na frontonie gmachu popiersia Prusa, nadaniem nazwy: „Kąpielisko im. Bolesława Prusa", uczcilibyśmy godnie pisarza, który wypowiadał się nieraz przeciwko pomnikom i monumentom, ku ozdobie, a bez pożytku. Rozraduje się duch Prusa na widok powstającego w mieście zakładu użyteczności publicznej.

Uczci najpiękniej Jego pamięć, kto 19 Maja w dzień pierwszej rocznicy Jego śmierci ofiarą złożoną w Redakcji powiększy dotychczas zabrany fundusz w sumie 11 000 rubli na budowę „Kąpieliska im. Bolesława Prusa.

KRONICZKA.

Według ostatecznych obliczeń urzędowych podczas wojny bałkańskiej bułgarzy stracili: 3,000 oficerów w zabitych i 900 rannych; żołnierzy — zabitych 26,000, rannych 60,000. Bułgarzy wzięli do niewoli 95,000 turków.

Lotnik szwajcarski, Bieder, wzniósłszy się o godz. 4-ej m. 35 zrana, przeleciał Alpy berneńskie na wysokości 3,200 metrów, w kierunku przełęczy Rawil, i wylądował o godz. 6-ej m. 19 zrana w pobliżu Zitten na górze Ballis. Wzlot uważany jest za największy rekord światowy, który pobił wzlot przez Simplon.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3